

<https://rcin.org.pl>

<https://rcin.org.pl>



F. 7959

B w 1881 września

O POLSKICH PRZEKŁADACH

TRAGEDYI SOFOKLESOWYCH.

NAPISAŁ

*Roman Zawiliński.*Nec verbum verbo curabis reddere fidus
Interpres.....*Horatius — Ep. ad Pis. 133.*

Weszło ogólnie w zwyczaj, że recenzent, zdający sprawę z nowo wydanego przekładu któregośkolwiek z poetów lub prozaików obcych, nie może się obejść, choćby w najkrótszej recenzji, bez kilku uwag wstępnych, w których, dając pogląd na literaturę, a w szczególności na dzieła tłumaczonego autora, zaznacza zarazem swoje stanowisko, z którego przekład oceniać zamyśla. Ogólna prawie reguła ma szczególne zastosowanie i przy przekładach utworów klasycznych, których mniej niż nowożytnych, chociaż niewiele ustępujących im co do wartości posiada i nasza literatura.

A ilu krytyków, tyle rozmaitych zdań o zadaniu tłumacza, tyle rozmaitych uwag o sposobie zabierania się do przekładu, tyle warunków, pod jakimi jedynie przekład może odpowiedzieć wymaganiom literackim i artystycznym. Jedni żądają od tłumacza, aby, zrozumiałwszy należycie utwór klasyczny, który przekładać zamyśla, przejął się tak jego myślą, rozumiał tak jego wszystkie piękności i odkrył rysy charakterystyczne, iżby, stanąwszy na stanowisku równym poecie, bez trudności też same myśli i uczucia przyoblekał w szatę inną wprawdzie, ale ile możliwości odpowiednią krojem i kształtem oryginałowi. Drudzy chcą, aby tłumacz trzymał się ściśle oryginału, aby, idąc z śladu w ślad za myślą poety, odtwarzał wszystko z wiernością kopisty, przykrawając szatę zewnętrzną do miary oryginału, bez względu na to, czy ta materyja zdolna będzie ułożyć się w te same fałdy, czy draperye uwydatnią należycie postać zewnętrzną, będącą odbiciem wnętrza, a nie zdefigurują klasycznego posągu. Jedni, żądając pięknej formy, uwa-

zają za rzecz niezbędną użycie w języku polskim wiersza rymowego ogólnie w dyalogu, a w chórach chcą widzieć pełne dytyramby, hymny, peany lub elegie, na jakie poezya zdobyć się może; drudzy sądzą, że rym krępuje nieraz tłumacza i zmusza go do przerabiania zwrotów klasycznych tak pełnych siły i werwy, a nawet do ujęcia lub dodania jakiegoś wyrazu, nie mieszczącego się w oryginale, co się w nich już świętokradztwem zowie: ci tedy żądają wiernego przekładu; wiernego aż do równej ilości wierszy, niemal do téj samej słów liczby. Trudno polemizować ze zdaniem tego lub owego recenzenta; przeciwne twierdzenie jednego jest zbiciem argumentów drugiego, ale trudno zaprzeczyć, że i w jednej i w drugiej ostateczności jest ziarno prawdy. Każdy się zgodzi na to, że przekład powinien być wierny, nie wiernością słów zbliżonych szykiem i nieledwie dźwiękiem do oryginału, ale wiernością myśli i obrazów; że następnie powinien być artystycznie piękny, a więc posiadać we formie przedstawienia to wszystko, czego od tego rodzaju poëtycznego utworu prawidła sztuki wymagają. Przy pierwszym należy unikać niewolniczego trzymania się tekstu, rodzącego przymus i niejasność; przy drugim zbytniego zaokrąglania form kosztem kształtu i myśli pierwotworu, czyli jednem słowem: przekład ile możności wierny, a posiadający wszystkie warunki artystycznego piękna w formie, jest ideałem przekładu, opartym na tych słowach L. Siemieńskiego ¹⁾, że „tłumacz powinien, uchwyciwszy ducha każdej myśli, wyrażenia się, dociągać w swym ojczystym języku do téj samej skali i wydać to samo, choć niezupełnie temi samemi wyrazami i zwroty.”

W obec takich wymagań trudne zaiste zadanie tłumacza i зда- waćby się mogło, że mając je na oku, nikt się nie porwie na kręcenie biczem z piasku, nikt nie zaufa własnym, choćby w rzeczy samej dostatecznym siłom. A jednak tak nie jest. Piękność każda ma to w sobie, że się nie zadawalnia hołdem jednostki; ten, co się poznał na piękności utworów klasycznych, a przedewszystkiem greckich, i rozkochał się w nich więcej od innych, nie może się oprzeć pokusie, aby nie przelać utworu uwielbianego w formę właściwą jego narodowi, aby, zgromadziwszy około siebie grono podobnych wielbicieli, nie stać się motorem ich uczuć i zachwytów, kapłanem ofiary z kadzideł, składanej na ołtarzu prawdziwej piękności. A gdy do tego przyczyni się jeszcze czasowy prąd w literaturze, obudzający pragnienie zacerpnienia ze samego źródła prawdziwej poezyi, niezmiennego piękna formy i treści, któżby był w stanie oprzeć się pokusie?

U nas, w Polsce, ogólne odrodzenie nauk klasycznych w wieku XVI-tym, nie przyniosło ze sobą równego zamiłowania do dzieł literatury rzymskiej i greckiej. Język łaciński był jakoś bliższym i łatwiejszym dla naszych praocjów, bo on im przyniósł cywilizacyą, on, jako język dyplomatyczny, stanowiąc łańcuch, łączący nas z innymi narody; to też nic dziwnego, że większe jego studyum, większą znajomość dzieł li-

¹⁾ „Czas,” dodatek miesięczny z r. 1858, t. IX, str. 159.

teratury rzymskiej pociągnęło za sobą. Język grecki stał więcj za uboczny, był prawie obcy, a literaturę jego zajmowali się chyba ludzie z powołania, lub dziwnym jakim trafem w jego piękności wtajemniczeni. Na wzorach klasycznych, kształcący się Jan Kochanowski, znał może więcj niż współcześni literaturę grecką, ale z niej przedewszystkiem Homera, z którego Iliady nawet księgę III na język polski przełożył. Juszyński ¹⁾, a po nim Wiszniewski ²⁾ wspominają o Waleńcie Jakubowskim, współczesnym Kochanowskiemu, który miał być biegłym w greckim języku i Antygonę Sofoklesową na poemat epiczny przełożyć. Pierwszy i ostatni wiersz tego poematu brzmi według Juszyńskiego:

Powiem cudowne dzieje stubramnego miasta

Niech sam Kreon zapłacze, jeśli jest człowiekiem.

Jestto ślad jedyny, że wówczas znano przecież u nas Sofoklesa. Ale potem długie upłynęły lata, zanim spotkać się możemy ze znajomością arcydzieł greckich. Powstanie właściwego pojęcia filologii, jej rozwój, wywołujący zamiłowanie arcydzieł klasycznych i budzący prawdziwy romantyzm w Niemczech w wieku XVIII, nie pozostał bez wpływu i na naszą literaturę. Mamy świetne pomniki poezji romantycznej, a w tém samym ognisku, gdzie ona zajaśniała, rozwijał się pojęcie klasycznego piękna i tamował zapędy rozbijał wyobraźnię obrazem spokoju i harmonii klasycznej prof. E. Groddeck, znakomity filolog, jeden z luminiarzy ówczesnego uniwersytetu wileńskiego. Jego wpływ nie mógł pozostać bez skutku, i podczas, kiedy Mickiewicz, rozwijający szybko skrzydła do orlego lotu, wydawał w r. 1829 w Petersburgu „Konrada Wallenroda,” pojawił się równocześnie w Wilnie przekład Sofoklesowego „Edypa w Kolonie” ³⁾, dokonany przez jego kolegę Tadeusza Eliaszewicza. Uczeń Groddecka, autor ogólnych uwag nad klasycyzmem i romantycyzmem i rozprawki „O wieku Sofoklesa,” w którym pisał Edypa w Kolonie, umieszczanych w tymże samym czasie w „Dzienniku wileńskim,” dawał poniekąd rękojmnię, że przystąpił do tłumaczenia z należytym przygotowaniem, i ze zrozumieniem rzeczy. Utwierdzają czytelnika w tém przekonaniu i wiadomości wstępne, podane na czele przekładu, napisane przystępnie i jasno, w których tłumacz przedstawia myślenie tej tragedji Sofoklesowej, skreśla charakterystyki główniejszych osób, mówi o układzie tragedji i jej miejscu, a naostatek o wieku dramatu i samego poety. Z cytat, na które się powołuje, można poznać, że tłumacz korzystał z prac filologów niemieckich, aby np. rozstrzygnąć kwestyę czasu powstania tragedji; a chociaż

1) „Dykcjonarz poetów polsk.” T. I, str. 147 i 148.

2) „Hist. litt pol.” t. VII, p. 311.

3) „Edip w Kolonie.” Tragedya Sofoklesa: Z greckiego, przekład Tadeusz Eliaszewicz. Wilno, nakład i druk A. Marcinowski, 1829.

jego zapatrywanie z dzisiejszym na te rzeczy poglądem się nie zgadza, nie można odmówić Eliaszewiczowi przynajmniej zasługi w poruszeniu tej kwestyi i w możliwem jój rozstrzygnienu. Niemniejsze zalety posiadają i „Przypisy,” umieszczone na końcu przekładu; świadczą one o tém, że tłumacz nie bez przygotowawczych studyów do przekładu przystąpił, ale zarazem każą żałować, że tych wiadomości nie zastosował lepiej, że go one nie natchnęły świętością i ważnością zadania tłumacza i nie dały mu mocy większego zbliżenia się do oryginału. Wprawdzie z przykrością przychodzi wyznać, że w przekładzie tragedyi samój niema nic, cobyśmy podnieść i uwydatnić mogli, jako zaletę; a jednak musimy to uczynić. Przeczytawszy sam przekład, uczuwamy pewnego rodzaju niesmak i niezadowolenie; czujemy w treści i w pojedynczych scenach całą wysokość nastroju, a nie widzimy tego w przekładzie, odgadujemy wspaniałość dykcyi, a darmo śledzićbyśmy się za nią u Eliaszewicza kusili. A cóż dopiero, kiedy weźmiemy do rąk oryginał i zaczniemy porównywać z nim tłumaczenie i zobaczymy to samowolne fałszowanie tekstu, to poziome i drobnostkowe sunięcie się dykcyi, przeplatane retorycznymi zwrotami, jeżeli jedném słowem staniemy nad tą przepaścią, dzielącą Edypa w Kolonie Sofoklesowego od Edypa Eliaszewicza? Jeżeliby nam kto zarzucił, że dla pierwszej próby przekładu Sofoklesa należy przez samo uszanowanie być względnym i pobłażliwym, radzimy mu porównać, jeśli nie z oryginałem, to przynajmniej z przekładem prof. Z. Węclewskiego, wiersze Eliaszewicza: 24, 25, 26, 31, 32, 343—346, 357—360, 370—371, 392, 400, 819 i 820, 840 dla przekonania się o zupełnem sfalszowaniu myśli Sofoklesowej, w w. 19 i 20 dla przekonania się o parafrazowaniu: 34—36, 115—116, 408, 409, 451—454, 571, 792, 729, 1104, 1284, 1342, 1343; o zbyt wolnym i rozwlekłym przekładzie, 30, 41, 58—59, 70 o dodatkach tłumacza niepotrzebnie i niezgrabnie przytłaczanych, a tuszymy sobie, że nas nie posądzi o zbytnią surowość lub o nieuszanowanie pierwszych śladów. Z całości najlepiej jeszcze stosunkowo wypadły dialogi, w których pojedyncze osoby większemi rozporządzają ustępami, chociaż i tu napotkać można miejsca, w których syntaktycznym składzie trudno się dopatrzeć jasnój myśli i związku (262—265, 819—820). Jak zaś trudno tłumaczowi wyrazić się krótko i zwięzłe w dialogu żywym wykaże następujące porównanie jednego i tego samego ustępu w przekładzie prof. Węclewskiego i Eliaszewicza.

Węcł. 312—321:

<i>Edyp.</i> Przybyłaś córko?	<i>Ismena.</i> Ojeze, obrazie niedoli!
<i>E.</i> Przybyłaś rzeczywiście córko?	<i>I.</i> Nie bez trudu.
<i>E.</i> Obejmij córko mnie!	<i>I.</i> Was obu razem ścisgam.
<i>E.</i> O plemię wspólnej krwi!	<i>I.</i> Och, życie nieszczęśliwe!
<i>E.</i> Czy téj i moje?	<i>I.</i> Moje także trzeciój biédnej.
<i>E.</i> Po coś przybyła, dziecię?	<i>I.</i> Z obawy o siebie.

- E.* Czy tęskniąc za mną? *I.* Tudzież aby sama tobie
Zwiastunką być, wraz z jednym tym mnie wiernym sługą.
E. Gdzież bracia, co są w wieku sposobnym do znojęw?
I. Puść mimo ich! Złe straszne teraz onych gnecie.

Eliasz. 317—326:

- Edyp.* Tyż córko przybyła? *Ismena.* Widzieć ojca nędzę.
E. O współrodne dziewice! *I.* My dzieci niedoli.
E. Córko zbliż się tu do mnie. *I.* Jakże serce boli!
E. Uściśnij mię Ismeno! *I.* Drżącemi rękami!
E. Ojca i siostrę razem. *I.* I mnie trzecią z wami!
E. Cóż cię do nas przywiodło? *I.* Widzieć ojczyznę ciebie.
E. Samaż cię miłość wiodła? *I.* I mówić w potrzebie,
Nikt zaś nie chciał pójść ze mną, prócz jednej dziewicy.
E. Cóż tam czynią ważnego twoi domownicy?
I. Również teraz jak przedtém okrutni i dzicy.

Czyż nie mamy jasnego dowodu, jak sobie tłómacz samowolnie i swobodnie postąpił z oryginałem, i do czego go prowadzi mijanie się z myślą poety?

Tyle ogólnie o dyalogu.

W pierwszym śpiewie chórowym nie krępuje się tłómacz, równie jak i w dalszych, znaną mu pewnie uwagą, że strofa i antistrofa nawzajem sobie jaknajdokładniej odpowiadają co do metrum i myśli nawet, że przeto i w przekładzie równa miara wierszowa i równa ilość wierszy koniecznie dla nich potrzebna. Strofa, w wierszu 8-zgłoskowym przerwana po dwakroć krótszym wierszem liczy 20, antistrofa zaś podzielona u Eliaszewicza bezzasadnie między naczelnika chóru, a chór cały ma 18 wierszy, które, oprócz gładkiego w kilku miejscach toku, nie szczególnie oddają Sofoklesowe logaedy. Początek strofy drugiej kładzie Eliaszewicz znowu w usta naczelnika chóru, ale bez względu na miarę wierszową w miarze dyalogu, i dopiero po 3-ch wierszach spostrzegłszy się, zaczyna ale odmienną od poprzednich strof miarą, zapewne dla różnaitości. Powoli potem gubi się w miarach, a uwiedziony snąc formą dyalogu, zapomina o właściwym charakterze tego śpiewu, tak, że nawet następujący po nim śpiew Antygony *ἀπο σκηνης* w dyalogową przyobleka miarę. Chóry dalsze są słabsze jeszcze i rażą przedewszystkiém rozwlekłością dykcji.

Nie można pocytać tłómaczowi za zaletę wyrażen takich, jak „bóstwo groźnowzrokie” (84), „niewiasta na Etneycie” (303), „rozum zgubił” (1209), „do... pod-ziemu” (1554) i zwrotu tak twardego jak w w. 85.

„Choćśmiem deptać posady wami owładane,” a stanowczo wytknąć mu należy takie niegramatyczności, jak w w. 554: urosłem między obce ludy; w w. 347 przynosisz oycowi; i rusycyzmy przeciwnie językowi polskiemu w w. 853: wzięłaś dziewicę; w 945: wła-

snych dziewic z tój wzięłam ustroni;" w. 1679: Któż nas sierot przytuli? i w w. 1758: chciéy do Teb Ogygjskich nas sierot odprawić.

Niepotrzebnie używa tész Eliaszewicz na oznaczenie Aresa nazwy łacińskiej Marsa „Gradivus” w w. 1387, a nawet w sposób niezasadniony.

W wiadomościach wstępnych do tłumaczenia wyznaje Eliaszewicz, „że jeżeli kto w niniejszym przekładzie nie dostrzeże wszystkiego,” o czém w rozprawce szeroko mówił, „niech raczy wiedziéć, żeśmy je (charaktery) skreślili podług malowidła oryginału, żeśmy je pokrótce opisali, tak jak czuliśmy, ale nie zdołaliśmy w słabym wierszu wydać.” Broń, którą się broni, musimy zwrócić przeciw samemu tłumaczowi. Wad aż nadto widocznych nie może usprawiedliwić wyrzeczenie, że tłumacz pisał „jak czuł,” a nie zdołał w słabym wierszu wydać. Dla tłumacza dzieł Sofoklesowych jest zamało „czuć a nie zdołać wydać” i „kreślić podług malowidła,” trzeba czegoś więcéj jeszcze, a w braku tego lepiéj poskromić niewłaściwe zapędy.

Dziwna rzecz nakoniec, jaki to oryginał miał tłumacz przed sobą, na którym był napis: *Ἐδιποῦς ἐπὶ Κολωνῶ*, a który tłumacz na 1 str. „Wiadomości wstępnych” podaje. Kilka kwestyi, odnoszących się do krytyki tekstu, kazały się nam domyślać, że tłumacz używał wydanie Reisiga, ztąd niepojęta rzecz, dlaczego nie spojrzzał na tytuł, gdzie stoi napis właściwy: *Οἰδίπους ἐπὶ Κολωνῶ*. Albo miałżeby tłumacz wcale nie używać oryginału, ale jakiego przekładu niemieckiego lub francuzkiego, na co nas i to znaczne odstępstwo myśli od tekstu Sofoklesowego naprowadzać może?

Jeszcze w r. 1824 miał Eliaszewicz przełożyć „Trachinki” Sofoklesowe wierszem rymowym i poświęcić je przyjaciom: Janowi Wiernikowskiemu, Józefowi Kowalewskiemu i Feliksowi Kołakowskiemu. Rękopis, znajdujący się w rękach p. Kowalewskiego, czytał p. Kazimierz Kaszewski, znany tłumacz Sofoklesa i w przedmowie do swego przekładu Trachinek ¹⁾ w te o tym przekładzie odzywa się słowa:

„Szanowna to praca: widać w niéj należyte zrozumienie tekstu nietylko liberalne ale duchowe i artystyczne, widać usiłowania do wydobycia z języka naszego zwrotów godnych odpowiadać wyrażeniom mistrza greckiego, ale z tém wszystkiém jest to łamanie pierwszych lodów. Eliaszewicz snadź nie był poetą, to nie stworzył sam sobie języka, jak jego kolega Mickiewicz, a był o lat 40 odległym od tych zasobów, do jakich my dziś, przez pracę poprzedników przyszlismy; więć tész i praca jego dzisiejszym wymaganiom językowym pod estetycznym względem ani z toku, ani w wersyfikacyi nie odpowiada.”

W tych słowach p. Kaszewskiego, znajdujemy klucz do rozwiązania zagadki przekładu Edypa w Kolonie; Eliaszewicz nie był poetą,

¹⁾ „Bibl. Warsz.” z r. 1865, t. II, str. 6—7.

„czuł a nie zdołał tego w słabym wierszu wydać” i ztąd jego przekłady mają wartość tylko historyczną, tylko archeologiczną, każdy o nie potrącić musi, ale się przy nich nikt nie zatrzyma.

W chronologicznym porządku następuje przekład „Edypa króla,” dokonany przez Alfonsa Walickiego ¹⁾. Prof. Z. Węclewski porównując ten przekład z późniejszym przekładem téjże saméj tragedyi przez K. Kaszewskiego, powiada ²⁾: że Walicki w dyalogu ani rytmu ani rymu niéma, że w pieśniach chórowych ani zwraca bacznąj uwagi na prawo metryczne, na układ i zgodę strof i antistrof, chociaż się czasem o to samo metrum stara; że jego dykcyja ciemna, drobiazgową i pojedynczą, w wielu miejscach suchą i jałową, zdaje się oddalać od sposobu pisania Sofoklesowego, lubo z drugiejj strony pewnego rodzaju powagi odmówić mu nie można. Podoba się to prof. Węclewskiemu, że Walickiego nie porywa, ale powoli, stale i z powagą idzie naprzód, że powodowany świętością i ważnością surowego tłumacza, nie kładzie często słów bez myśli i dykcyi zbyt nie obrazuje. Do tego zdania zasłużonego naszego filologa cóż więcj możemy dodać? W ocenie naszéj starać się tylko będziemy o bliższe uzasadnienie przykładami każdéj części tego sądu, zwracając przytém uwagę na szczegóły.

I tak co do rytmu, w rzeczy saméj wiele napotyamy usterek; skoro sobie tłumacz już raz obrał za metrum dyalogowe wiersz jedenastozgłoskowy żeński, nie powinien był mieszać go z dziesięciozgłoskowym męzkim, którego liczne napotyamy przykłady (na str. 170, 176, 184, 186, 192, 194, 205, 215, 217, 220, 223, 224) z dziesięciozgłoskowym żeńskim (str. 223) lub nawet z dziewięciozgłoskowym

¹⁾ Arcydziała dramatyczne. Przekłady J. Korzeniowskiego i A. Walickiego. Wilno, 1845; tom II, str. 161—246.

Alfons Walicki urodzony na Litwie, odbywał nauki w uniwersytecie wileńskim, kończył je zaś w dorpackim, gdzie po napisaniu rozprawy „de Cornelio Nepote” (Dorpat, 1833) otrzymał stopień doktora filozofii. Był ad-junktem a potem profesorem zwyczajnym literatury starożytnej w uniwersytecie charkowskim. Umarł 24 października 1858 r. Prace jego wydane z druku są: 1) „Faust,” tragedia Goethego, z przydaniem kilku śpiewów kompozycyi ks. Ant. Radziwiłła. (Wilno, 1844). 2) „Król Edyp.” 3) „De cyclo epico” (Charków, 1839). 4) „Cyropedya Xenofonta z uwagami rosyjskimi i słown. gr.” Charków, 1848. Zostawił w rękopismach przekład: „Medei Eurypidesa,” „Mowy Eschinesa i Demostenesa o wieńcu” z komentarzami, zupełnie ukończonemi; drugą część „Fausta” Goethego i oryginalny dramat „Zbigniew,” który miał być drukowany w „Tece wileńskiej.” Została niedokończona „Historya literatury greckiejj,” dzieło obszernych rozmiarów, nad którym oddawna pracował. (Wiadomość z Encyklopedyi Orgelbranda).

²⁾ W rozprawie: „Choeforis ex graeco translatis... de tragoediis e graeco in linguam polonam conversis brevissimam disputatiunculam praemisit.” S. Węclewski. Program gimn. ś. M. Magd. w Poznaniu, r. 1856/7.

(str. 191 i 236) obok niemiarowego zupełnie na str. 230:

Dwoista niwa jego i dzieci jego.

W ostatnich wierszach dyalogu, pisanych w oryginale w tetram. trach. akatal. użył Walicki wiersza trzynastogłoskowego męzkiego, lecz i w tym nie zachował jednostajnego rytmu, bo ostatni wiersz dyalogu jest czternastogłoskowym. Nie przestrzegał przeto Walicki zbyt ściśle praw rytmicznych, nie miał ucha prawdziwie muzykalnego, ale się starał o pewien rodzaj wiersza; gdy go stracił z uwagi, zaraz następował lapsus. W obec tych nieregularności w dyalogu, trudno wymagać od Walickiego doskonałego przekładu chórowych śpiewów. To dziwne przeplatanie wierszy kilkunastogłoskowych kilkunastogłoskowymi, wzajemne ich rymowanie się lub brak takowego, uzupełniający się często dopiero po kilku wierszach, sprawiają zawsze, że w chórach ginie zupełnie myśl, że się je czyta aby przeczytać, że nie zrozumiałwszy o co chodzi, czyta się raz drugi i mimo to, nie wynosi się żadnego wrażenia, nie mówiąc już o tém, jakie się ma po przeczytaniu tych wspaniałych lirycznych ustępów w oryginale. Najszcześniejszą jeszcze ze wszystkich jest strofa i antistrofa druga w Komation Epejzodion II (str. 198 i 200), która chociaż zadługim wierszem pisana, ma przecież pewną jednostajność i związek myśli jasny; nie zły jest również Stasimon III (str. 227—228).

Że dykcyja sucha a nawet powszednia, nikt nie zaprzeczy, a ztąd lepiejby było, aby ją był Walicki cokolwiek więcej obrazował bez obawy przeładowania. Słów, prawda, nie kładzie bez myśli, ale nie wiem, czy może być jasnym wyrażenie na końcu antistrofy drugiej w Parodos (str. 174): „jasnookie klęsk ulitowanie” lub na str. 220.

A ona

Jako niewiasta w wyniosłości dumach,
Wstydzi się rodu podlejszego we mnie.

W całym przekładzie stara się Walicki o wierność, i tém przynajmniej stoi wyżej od Eliaszewicza. Do niezbyt szczęśliwie przełożonych zaliczylibyśmy w. 110 i 111 (oryginału) u Walickiego str. 170:

Szukane się znajdzie,

A zaniedbane tylko się nie znajdzie.

W spolszczaniu imion osób greckich, dziwnej jakiejś zasady trzyma się Walicki; Labdaka, dziada Edypa zowie „Labdaxem,” Teirezyasa Tiresiaszem, sfinksa zapewne przez wzgląd na jego żeński rodzaj w greczyźnie, Sfinksą.

Z wyrażen niezgrabnych przytaczamy: „rymowieszczca psica” (str. 184) zam. sfinks, „objąć” (rozumem, umysłem) zam. pojąć, dalej: „w cudzej ziemi,” zam. utartego wyrażenia „w obcej ziemi” i niezrozumiałe słowo „dociskać” w dwuwierszu strofy 1, Stasimonu III (str. 227). Mówi się też zwykle u nas: „nie przemilczć czego” według zasadniczych prawideł naszej mowy, a nie: „nie przemilczć co,” jak tego używa Wa-

licki na str. 175; „mordercę nie przemilczcie;” genit. plur. zaś od subst. „klęska” mamy „klęsk” a nie: „klęsek” (str. 185).

Od całości, która wyszła z pod ręki tłómacza Fausta, i od filologa z zawodu, spodziewaliśmy się więcej; przekład ten, choć pod wielu względami wyższy od przekładu Eliaszewicza, nie daje jeszcze dostatecznego wyobrażenia o oryginalne, a ma tę kardynalną wadę, że pisany tylko białym wierszem, bardzo ciężko się czyta.

K. Estrajcher zanotował w „Bibliografii polskiej wieku XIX,” że Walicki pozostawił w rękopisie przekład „Antygony” Sofoklesowej. Wnosząc z przekładu „Edypa króla,” możemy domyślić się w przekładzie „Antygony” tych samych wad i braków, jakie widzieliśmy w poprzednim a wtedy zdanie nasze nie będzie bezzasadnym, jeżeli wyrzeczemy, że przez nieogłoszenie „Antygony” drukiem, Walicki naszej literaturze wielkiego nie uczynił uszczerbku.

Tém samém arcydziełem nie tylko literatury greckiej, ale literatury dramatycznej całego świata, zajął się prawie w tym samym czasie co Walicki, Wincenty Smaczniński ¹⁾. Jestto jedyny przekład tego tłómacza ogłoszony drukiem, bo oprócz tego, miał on przygotować do druku przekład wszystkich tragedji Sofoklesowych. Na zapytanie, czy „Antygoną” W. Smacznińskiego jest „Antygoną” Sofoklesa, musimy stanowczo i z góry odpowiedzieć: nie! Prof. Węclewski mówi ²⁾, że jestto raczej wolne naśladowanie niż tłómaczenie, że się wprawdzie da-
dzą odkryć ślady tragedji Sofoklesowej, ale albo powiększone albo ob-

¹⁾ Urodził się r. 1802 w województwie krakowskim, nauki pobierał w gimnazjum nowodworskim i w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie w roku 1824, po obronie rozprawy „De scepticismo etc.” stopień doktora filozofii otrzymał. W tymże roku przybył do Warszawy i po złożeniu egzaminu w komitecie egzaminacyjnym, otrzymał posadę nauczyciela w b. szkole wojewódzkiej w Kaliszu. Wysłany w r. 1829 kosztem rządu zagranicę dla udoskonalenia się w filozofii i filologii, w r. 1832 wrócił do kraju i miał sobie poruczony wykład logiki w gimnazjum warszawskim, a od 1836 r. wykładał logikę, pedagogikę i historję filozofii w b. kursach dodatkowych pedagogicznych, obok czego był pomocnikiem dyrektora gimnazjum gubern. warsz. i członkiem komitetu egzaminacyjnego. W roku 1842 został dyrektorem gimnazjum w Piotrkowie, a w r. 1848 wizytatorem szkół i członkiem rady wychowania publicznego, tudzież członkiem komisji emerytalnej. W r. 1859 uwolniwszy się od służby, osiadł w Sacinie w powiecie rawskim. Ogłosił drukiem: 1) „Przekład historyi Weleja Paterkula,” 2) „Poezye W. S.” tomów 2, Warszawa, 1850; gdzie w tomie drugim od str. 81—144 znajduje się przekład Antygony Sofoklesowej, 3) w „Dzienniku Warszawskim” przekład ks. VIII Odyssei, niektóre ustępy z Delille’a o imaginacyi, i z Racine’a; nadto od lat dawnych przygotował do druku przekład wszystkich dzieł Sofoklesa. (Encykl. Orgelbr.).

²⁾ We wspomnianym już programie gimnazjum ś. Maryi Magd. w Poznaniu, z r. 1856/7.

cięte. W rzeczy samej dziwne musiało być pojęcie W. Smacznńskiego o zadaniu tłumacza, skoro sobie takich pozwał ułatwień. Trzeba mu było rymu—przerobił myśl na swoją modłę, ścierając z Sofoklesa powagę i domieszając obce rzeczy—podobny w tym względzie nieco do poprzednika swego Eliaszewicza. Ztąd pochodzą te liczne zmiany myśli, te opuszczania lub rozwałkowanie wierszy; ztąd w jednym miejscu brewilokwencya, w drugim drobiazgowość i rozwlekłość zaciemniająca nieraz myśl prawdziwą, jak to już prof. Węclewski zauważył.

I tak zaraz pierwsze trzy wiersze oryginału przełożone u Smacznńskiego czterema, z których ostatni powstał tylko przez rozwałkowanie; wiersz 20, na str. 86, oddany dwoma, a mimo to nie wyrażająco dokładnie myśli.

Widzę na twarzy twojej rozognione żary
I ukryte w wyrazach tajemne zamiary.

Dykcyja i obrazowanie wcale nie świetne, a cały ten dwuwiersz jest jakby parodyą Sofoklesa, podobnie jak w. 783.

(Miłość) Na krasnych licach dziewic drzymiących (sic!)
Lubisz osiadać zbiorem wdzięków niewolących.

Idąc od początku, napotykamy opuszczone w przekładzie myśli wyrażone w wierszach oryginału 25 i 74, rozwlekłe i fałszywe co do myśli w w. 39, 40, 88, 93, 97, 141, 143, 523, 525; nakoniec wiersz 44 przełożony dwoma niezgrabnie i rozwlekłe, równie jak wiersz 45, gdzie drugi wiersz zupełnie bezmyślny; zupełnie fałszywy wiersz 73, a nadto rozwlekły i wolny wiersz 89, 98, 99, przyczem ostatni bezmyślny.

Najłatwiej się uwydatni swoboda W. Smacznńskiego w przekładaniu, przez zestawienie w wierszach 185—190 w przekładzie prof. Węclewskiego z temi samemi Smacznńskiego. Prof. Węclewski:

Milczeniem nie okupię swęj całości, skoro
Zoczę, że klęska godzi na obywateli;
I nigdy z wrogiem kraju dla własnej korzyści
Nie wejdem w przyjaźń, wiedząc że kraj broni naszój
Całości i że sobie jednamy przyjaciół,
Gdy płynąc w łodzi państwa o jēj całość dbamy.

W. Smacznński:

Tak—nigdy nie zataje, jeśli ujrzę zdala,
Że ojczyźnie nieszczęściem grozi wzdęta fala;
I nikt związków przyjaźni ze mną nie skojarzy,
Kto na zgubę swęj ziemi chytne z mowy warzy:
Tarczą naszą ojczyzna, a uczuć ognia
Najłatwiej się połączą, gdy ona szczęśliwa.

Wiersze oryginału 484 i 485 ¹⁾ tłumaczy W. Smaczniański:

Mamże puścić bezkarnie nieprawej kobiety
 Wymierzone na moją zagubę sztylety;
 Srogich męczarń za wielkie wykroczenie skąpic
 Karmić uporne chęci, zwycięstwa ustąpić?

O tych „sztyletach wymierzonych na zagubę,” mówi Kreon król Teb, w przedhistorycznych dziejach Grecyi. Prawdziwie przyklasnąć należy tłumaczowi za tak dowcipne obrazowanie dykcji Sofoklesowej. Czy nie postawił się przypadkiem w owej chwili na stanowisku Blumauera do Eneidy, lub czy nie myślał, że temi obrazami upiękniejszy jeszcze Sofoklesa?

W śpiewach chórowych buja W. Smaczniański swobodnie, a nie uważając na strofy i antistrofy, tworzy z każdego śpiewu jeden ustęp. Rytm zwykle rozmaity, nieraz nadymający się do rodzaju rytmu improwizacji Mickiewicza a dykcja zbyt słaba i powszednia.

Z wyrażenń musiny uznać za nieszczęśliwe takie jak: „zmowy warzyć” (str. 93), „zbożosprawny” (str. 100), „trwałe podwale” zam. podwaliny (str. 100), rozchwiany krok” (str. 139). Bogowie wszyscy przeszli w przekładzie Smaczniańskiego, do Kościoła rzymskiego i łacińskie przybrali nazwy.

Całość chybiona, jest smutnym świadectwem braku zmysłu estetycznego u tłumacza i braku talentu, pomimo wykształcenia filologicznego i łatwości rymowania. Gdyby był przynajmniej tłumacz pojął należycie ducha utworu i w znośnej go odtworzył formie; tak zaś jak jest, jest ten przekład nawet w dyalogu dalekim od oryginału, w całości mdłym i niesmacznym, może dla konsekwencji i harmonii z dwoma tomikami poetycznych elukubracji, w których na końcu umieszczony. Finis coronat opus.

Z kolei wypadałoby nam teraz mówić o przekładzie „Antygony” przez K. Kaszewskiego, wydanym w Warszawie w r. 1853. Chcąc atoli działalność p. Kaszewskiego na polu przekładów Sofoklesowych przedstawić w całości i razem, zwracamy się do późniejszego o rok przekładu „Elektry,” przez prof. A. Małeckiego ¹⁾.

Z wiernością filologa, skrupulatnością miłośnika starożytności, i tęp przejęciem się świętością zadania, jakie tylko u tłumacza spsstrzedz można, co dzieło oryginalne ukochał i weń się wzył, przystąpił do przekładu prof. Małecki. A skoro już miał przekładać, to chciał nie tylko oddać ducha i myśl greckiego tragika: chciał żeby i forma na równi stanęła z treścią jak w oryginale i tworząc w ten sposób jedność harmonijną, dała polskiej publiczności należyte wyobrażenie o drama-

1) ἡ νῦν ἐγὼ μὲν οὐκ ἀνήρ, αὐτὴ δ' ἀνήρ
 εἰ ταῦτ' ἀνατὶ τῆδε κείσεται κρατῆ

1) „Elektra,” tragedia Sofoklesa, przekład Antoniego Małeckiego. Poznań, u Żupańskiego, 1854.

cie greckim. Musiał tłumacz nie mało myśleć nad tém, jakby tę formę klasyczną wydatnić; wiersz jakiego poprzednicy jego w przekładach używali, nie wydał mu się dosyć poważnym i prawie za jedyną wagę tych przekładów, uważał źle dobraną formę wiersza.

Po długim szukaniu uznał prof. Małecki za najstosowniejsze przełożyć grecki oryginał z trimetru jambicznego, „przeciwne duchowi naszego języka” na tetrameter trochaiczny, akatalektyczny, wykazawszy poprzednio w przedmowie: „że nie tylko jedenastozgłoskowy, ale nawet 13-zgłoskowy wiersz nasz zbyt mało ma powagi i sędziwości obok spadków rytmicznych, jakimi jest oddany dyalog w scenicznych starożytnych utworach,” że mu dalej „braknie tój wagi, tój lapidarności toku, jaką brzmi każde słowo ujęte w formy klasyczne,” że nakoniec „wszelki wiersza rodzaj, do którego przyzwyczajeni jesteśmy, jako do organu naszej własnej poezji przez to samo, że z nim jesteśmy spoufaleri, psuje, zmienia całe wrażenie, jakiego godzi się żądać od przekładu z greckiego oryginału.”

Nie myślimy tu wdawać się w spóźnioną polemikę z szanownym tłumaczem co do formy, ani udowodniać mu jęj niewłaściwości. Zwrócić już na to uwagę w swoim czasie prof. Z. Węcławski, który w rozbiórce tego przekładu mówiąc o jego formie w te odzywa się słowa: „Nie przekonał się (A. Małecki) o tém, że tego rodzaju wiersza szesnastozgłoskowego nigdy polscy poeci w tragedji nie używali, a starożytni (według Munka) tylko w tych miejscach dyalogu, gdzie trzeba było odmalować silniejsze wzruszenie umysłu.” Ten sąd wytrawnego znawcy i filologa powinienby nam wystarczyć; chcieliśmy atoli przy nadarzonej sposobności przypatrzeć się bliżej tój kwestji, która do dziś dnia w tłumaczeniach Sofoklesa stoi jako unikat i przekonaliśmy się: najpierw, że wiersz dwunastozgłoskowy, odpowiadający zupełnie trimetrowi jambicznemu greckiemu, nie jest zupełnie przeciwny językowi polskiemu i jego rytmiczności, skoro go znajdujemy w poezji lirycznej:

Jak słodko płyną dni wśród lubych sercu stron,
Gdzie nam szeleści dąb, gdzie szumi świerk i klon i t. d.

(Z gaz. Adeli Hanickiej).

powtórę: że w wierszu jedenasto- lub trzynastozgłoskowym pisane są prawie wszystkie nasze dramata i tragedye, a między temi i najznakomitsze, a mimo to nie brak im powagi, nie brak im niekiedy nawet tego toku lapidarnego, jaki jest w formach klasycznych; potrzebie: że przyzwyczajenie się do jakiego rodzaju wiersza nie pociąga jeszcze za sobą spoufalenia i zmniejszenia jego powagi; owszem, im przekłady z obcych języków czy klasycznego, czy nowożytnego świata będą bliższe tych form, któreśmy ukochali w poezji, a właściwie w jęj utworach nam drogich, tém więcej będą nas interesować, tém bardziej podobać się nam będą, choćby przez samo przypomnienie. Najlepszym tego dowodem przekład „Odyssei,” przez L. Siemieńskiego dokonany; nie kusi on się o hexametram grecki, nie naśladuje nawet zbliżonej doń miary

wierszowej w „Pieśni Wajdeloty,” a jednak—jednak ten Grek w kontuszu, przypominającym „Pana Tadeusza,” jakoś się wcale swobodnie porusza i nie stracił swój powagi, a patrząc nań, przysiągłbyś, że na Polaka stworzony. My zadaleko już oddaleni jesteśmy od starożytności, abyśmy zdolni byli należycie pojąć jej formy osobliwie w poezyi; duch jej uleciał bezpowrotnie, a z piórek, co nam pozostały na ziemi, nie odgadnąć nam już, jak one przystawały do całości skrzydeł, jak pruły powietrzne fale.

Zauważyliśmy nakoniec, że trocheus był ulubionym rytmem w starożytności, ale nie w dyalogowych częściach dramatu. Przeczytawszy Munka, na którego się powołuje prof. Węclewski, nie znaleźliśmy wprawdzie tego, co twierdzi szanowny profesor, ale natomiast zdanie, że tetrameter trochaiczny akatalektyczny nie był wcale w dramacie greckim używany, tylko katalektyczny, ale chętnie w tragedyi rzymskiej ¹⁾.

Do tego dodać musimy, że wiersz szesnastozgłoskowy w poezyi polskiej, mogący istnieć tylko jako złożony (z dwóch ośmizgłoskowych) jest nadto nużący i trzeba bardzo dobrych piersi, aby mózg więcej, jak jeden wiersz wydeklamować bez zacerpnienia powietrza. Nie idzie zatem, żeby się to czuć dawało w przekładzie „Elektry” prof. Małeckiego; owszem, wyznać trzeba szczerze, że próba powiodła się świetnie; że zaś musiała tu być trudność nielada w takiej formie przekładania, świadczy o tém najwymowniej sam fakt, że po prof. Małeckim żaden z tłumaczy Sofoklesowych do naśladownictwa się nie zerwał ²⁾. Wiersz tak długi, bo o cztery zgłoski dłuższy od trymetru jambicznego w oryginalu, potrzebuje bezwzględnie znacznego rozszerzenia treści, aby się stać co do formy równym oryginałowi; potwierdza to w przekładzie prof. Małeckiego ta okoliczność, że chcąc być wiernym i nie rozwałkować, musiał się tłumacz uciekać do półwierszy tylko w w. 27, 635,

¹⁾ E. Munk: „Die Metrik der Griechen und Römer.” S. 39. Der iambische trimeter, durch zulassung des irrationalen masses schwerer und würdiger gemacht, ist die gewöhnliche form für den dialog; im Satyrdrama bewegt er sich durch auflösungen leichter. Zuweilen wechseln die dichter mit dem katalektischen trochaischen tetrameter ab. S. 55. Der akatalektische Tetrameter findet sich bei Lyrikern und Dramatikern in Chören... Die Römer haben im dialogischen teil des Dramas den akatal. tetrameter häufig gebraucht; versus octonarius. Der katalektische tetrameter ist teils von lyrikern, teils von dramatikern sowohl im dialog, als auch im melischen teile des dramas gebraucht worden. S. 126. (Tetram. troch. acatal.). Die griechischen dramatiker haben diesen vers nicht; desto häufiger aber kommt er bei Römern sowohl in der Tragödie, als Komödie vor.

²⁾ Tylko prof. J. Szujski w tłumaczeniu Ajschylosa Persów użył tego wiersza, jako miary oryginału i ozdobił go nadto rymem. Patrz: „Przegląd polski” z r. 1879, zeszyt majowy, lub osobna odbitka.

1150, skracać, jak w. 1101 (tetram. troch. katal.), a nawet musiał zachromać nieco w wierszu 1144.

Poświęciliśmy mimowolnie dłuższy ustęp tej formie w przekładzie prof. Małeckiego, ale bo też i sam tłumacz zużył na jej usprawiedliwienie większą część przedmowy, przewidując snadnie, że przedsięwzięcie chwalebne a trudne może nie znajdzie odpowiedniej a godnej oceny i sankcyi.

W chórach „starał się M. pochwycić w każdej strofie rytm głównie panujący; rytm, według którego największa ilość wierszy tej strofy jest utoczona i przyjąwszy pewien rodzaj rytmu za główny niejako typ i charakter tej strofy, składał według niego wszystkie, a przynajmniej znaczną liczbę wierszy, do téjże strofy należących.” Znowu była trudność bezsprzecznie większa jeszcze, niż w dyalogu, ale tej nie pokonał już tłumacz tak świetnie. „Chóry chociaż odtworzono wspaniale i ozdobnie, podług pewnej miary i zasady—zbyt rozmaitą formą wierszy nie mogą podobać się uchu i słusznie zwróciły uwagę krytyków.” To zdanie prof. Węclewskiego charakteryzuje już dostatecznie tego rodzaju przekład; my do tego tyle tylko dodać musimy, że jeżeli gdzie, to w chórach naśladowanie miary oryginału nigdy się udać nie może. Inne prawa miała liryka grecka, inne ma liryka nasza; co tam mogło być wspaniałe, u nas przejdzie bez wrażenia, lub co gorsza, za zupełnie chybione uznaniem zostanie.

Całość jeżeli ma wielką wartość pod względem filologicznym, to ze względu na artystyczne wykonanie zaleca się tą siłą dykcji, jakiej dotąd u żadnego z tłumaczy nie napotkaliśmy i pięknnością języka, którego prof. Małecki jest panem zawsze. Uderzyły nas tylko takie wyrazy, jak: „pochybię” (w. 31), „spiżobiodrą czarę” (w. 54), „wiedma” (w. 280, zamiast zwykłego: wiedźma), „bugaj” (gaj, w w. 559), a nawet niegramatyczności: „powściągnął swych rąk” (w. 96) i „najkochnańszy” (w. 1154).

Aby nakoniec zrobić wszystko, cokolwiek dobry przekład zawierać powinien, oznaczył prof. Małecki wiersze według oryginału, którego się trzymał i przyozdobił tekst uwagami koniecznymi do zrozumienia, za które, równie jak za przekład cały, może mu tylko być wdzięczną polska publiczność.

F. H. L(ewestam) zanotował w Encyklopedyi Orgelbranda (tom XVII, str. 890), że prof. Małecki posiada przekład „Antygony” w tece. Żałować tylko należy, że jej nie ogłosił drukiem.

Lata od 1850—1855 były szczęśliwsze dla Sofoklesa i świadczą o żywym zajęciu się podówczas literaturą klasyczną, skoro w tym przeciągu czasu oprócz Małeckiego „Elektry,” zyskała nasza literatura przekłady „Antygony,” „Edypa w Kolonie” i „Edypa króla,” dokonane przez p. Kazimierza Kaszewskiego. Znany powszechnie krytyk i tłumacz kilku dzieł literatury francuzkiej i niemieckiej, poświęciwszy się przedewszystkiem studjom estetycznym i literackim, wziął się do przekładu arcydzieł klasycznego świata z głębiokim przejęciem. Zrozu-

miał on jasno, że sposób pisania starożytnych wysoce doskonały, wymaga takiej samej doskonałości po tłumaczu, że nie dosyć tłumaczyć wiersz w wiersz, słowo w słowo; ale trzeba nadto czegoś więcej jeszcze. To też nim przelał jaką myśl na papier w formie ojczyźtego języka, trzymał ją długo w duszy i sercu, aż przepromieniona indywidualnym uczuciem, wylatywała na świat, dziwiąc się może sama sobie, że może być tak piękną. Wszystko, co nosi na sobie cechy powszechnie, ludzkie, co prawdziwie piękne i szlachetne, znajdowało harmonijny oddźwięk w artystycznej duszy tłumacza, wszystko ją wzruszało i zachwycało i te chwile poetycznych porывów musiały być chwilami przekładania tragedji Sofoklesowych.

Musiało być dziwne uczucie tych, którzy poraz pierwszy zaraz po wyjściu z druku czytali przekład „Antygony” 1). „Jako? więc to jest tragedia Sofoklesowa, też sama, którąśmy niedawno czytali w przekładzie W. Smaczińskiego? Sąż to te same charaktery, też same chóry, też same myśli przez nie wyrażane?” Pytającym w ten sposób siebie i drugich, musiano odpowiedzieć tylko jedno: „tak jest.” Tak jest: „Antygona” w przekładzie p. Kaszewskiego to ta sama, którą napisał Sofokles, którą przekładał Smacziński, tylko z tą różnicą od pierwszego, że w polską i nadobną przystrojona szatę, z tą różnicą od drugiego, że zrozumiana, a ztąd rozumiała i jasna, odczuta poetyczną intuicyą a ztąd tak pełna poetycznych ustępów i zwrotów.

O zrozumieniu i przejęciu się oryginałem świadczy najlepiej sam wstęp; o pojęciu zadania tłumacza forma zewnętrzna przekładu i uwagi dodane u dołu stronic. Rzadko przychodzi się spotkać przy przekładach z tak jasnym, pięknym a zwięzłym wypowiedającym to, co potrzebne do zrozumienia, wstępem. Pogląd ogólny na poezją, szczegółowy na poezją dramatyczną grecką, określenie pierwiastku dramatycznego i charakteru dramatu greckiego, naszkicowanie charakterów tragedji, którą na dalszych stronicach w przekładzie czytać mamy—to wszystko zebrane krótko, czyta się z prawdziwą przyjemnością i korzyścią. W przekładaniu dyalogu użył p. Kaszewski wiersza rymowego jedena-stozgłoskowego, który jest tylko o jedną zgłoskę krótszy od trimetru jambicznego; użył zaś dlatego rymu, jak sam gdzieindziej 2) powiada, „aby pomijając go, nie ujmował dzieła artystycznego wrażenia.” Wzgląd zupełnie słuszny, mający obok tego za sobą tradycją narodową i oglądający się na nią; wiersz miarowy tylko, choćby najpiękniejszy, ułatwia wprawdzie pracę, a może i do większej w przekładzie przyczynia się wierności, ale „jest zupełnie obcy warunkom naszego języka w zastosowaniu do poezji i żadnej prawie nie wyraża harmonii.” Czuł to pewnie bardzo głęboko p. Kaszewski i ztąd starał się, aby tej stronie przekładu niczego nie brakło. To też czytając „Antygone,”

1) „Antygona.” Tragedya Sofoklesa. Tłumaczył z greckiego Kazimierz Kaszewski. Warszawa, 1853.

2) W rozprawce wstępnej do przekładu Edypa króla.

czytamy ją z tém większą przyjemnością, że nam pięknoscią wiersza przypomina przedewszystkiém Słowackiego dramata, a jednak powagą treści i myśli utrzymuje nas w nastroju klasycznym.

W partyach chórowych nie kusił się napróżno p. Kaszewski ani o naśladowanie miary oryginału, ani o zbliżenie się do niego najwięcej używaną miarą; ale czując znaczenie wiersza lirycznego w dramacie greckim, zachował mu możliwe cechy, a formę wziął z liryki polskiej. W I-szym chórowym śpiewie „Antygony” (str. 12 i 13) starał się p. Kaszewski w strofach i anti-strofach o używanie tego samego rytmu i o tę samą wierszy ilość, co się mu téż zupełnie powiodło, z małemi wyjątkami co do przemiany wierszy męzkich na żeńskie, gdzie również należało zachować pewną symetrią. Jest to jedyny sposób, aby jeszcze jakietakie dać czytelnikom wyobrażenie o układzie zewnętrznym pieśni chórowych. W chorze II jest to jeszcze mniej więcej zachowane między strofą i anti-strofą pierwszą; co do drugiej zaś, to znika równość rytmu i wierszy.

1.

Wiele jest dziwów— a przecie
Człowiek największy dziw w świecie.
On-to w siną głębię mórz,
Oślepię rzuca, nie zważa,
Czy go pęd ryczących burz,
Po drżących prądach wytarza.
On wielkiej bogini—ziemi,
Nieśmiertelnej, niezmeconej,
Rok w rok plęgami konnemi,
Pruje brzemień w różne strony.

2.

W jego rozstawione sieci,
Ród leciuchny ptasząt leci;
Człowieka przemyślny um,
Chwyta w spętane pętlice,
I leśnych zwierzątek tłum,
I wód łuskate dziedzice.
Człowieka wola łagodzi
Najdziksze potwory gór,
W jego jarzmie milczkiem chodzi
I koń grzywiasty i tur.

Zaprzeczyć trudno, że jeżeli w téj formie, jak jest, podobać się musi, jako jeden z najpiękniejszych chórów Sofoklesa, a jeden z bardzo zgrabnych w przekładzie p. Kaszewskiego, to w formie klasycznej, równiej, jednostajnej, byłby się wydawał o wiele lepiej i wyjednał prawdziwy tryumf tłumaczowi. Mimo to trzeba wyznać, że w „Antygonie”

chóry przełożone są bardzo wdzięcznie, a jako przykład przytoczymy jeszcze chór IV, mogący być śmiało policzonym do pereł liryki polskiej.

1.

O, miłościł twa potęga,
Gdzie nie spojrzeć, wszędy sięga.
Ty wśród morskich toni władasz,
Do wieśniaczej mkniesz świetlicy,
A uroków cuda składasz,
Na obliczu krasnolicy.
Nieśmiertelny Bóg na niebie,
Krótkotrwały człek na ziemi,
Nie wyprosi się od ciebie,
Ty go ranisz strzały swemi;
A gdy w kogo strzał twój padnie,
O! tym rozum już nie władnie.

2.

Przez cię nawet ludzie godni,
Idą oślepi drogą zbrodni;
Ot, i dziś przez ciebie właśnie,
W całym rodzie dzikie właśnie.
Lecz któż oprzecz się ośmieli,
Gdy weń wzrok dziewicy strzeli?
Oj—z miłością trudna sprawa,
Ona cichym, tajnym krokiem,
U przybytków władzy stawa,
Mącić prawa swym wyrokiem.
Afrodyta to bogini,
Takie z ludzi żarty czyni.

(Dokończenie nastąpi).



77959

znów
pełni
wym
stawi
strze
zta
siada
wali
wlan
ruch
parci
dajac

brzyt
nego
które
się m
zdoln
a bar
Na n
nym
nieu
cony
wój,
wnic

sto nasze
dnak zu-
południo-
łnocnym,
nej prze-
wyparta
czeni po-
we bufo-
łu budo-
jakotako
dtém po-
zne, jako

33 r.) ol-
nakreślo-
kolumn,
streczyła
lubo mu
te grube
e wierzył
zewnętrz-
lstwa czy
i. Obró-
y Łaska-
em budo-
aś zajmo-

f
7959

P. 1999